

Wesołudki

A red illustration featuring the title 'Wesołudki' in large, bold, stylized letters. The letters are integrated with drawings of children: a boy on the left, a girl in the middle, and two boys on the right, one sitting on a chair. The entire scene is set within a red rectangular border.

Dobra kąpiel, co?

Sztuka ludowa w Łowickiem pięknie świadczy o upodobaniach i uzdolnieniach łowickiego ludu. Jak sztuka każdej grupy regionalnej, np. podhalańskiej, kujawskiej, mazurskiej, kurpiowskiej — tak i łowicka sztuka ludowa ma bezpośredni związek z życiem otoczenia, gdyż z niego powstaje.

Wszędzie na ziemi łowickiej lud stawia przy drodze kapliczki i krzyże. Chaty malowane na lekko błękitny kolor harmonizują z równie błękitnym niebem ponad wsią, złotymi pszenicznymi polami i zielonymi łąkami. Wogóle „księżacy” — tak nazywają lud łowicki — Kochają się bardzo w kolorach, w jaskrawej pstrokaciznie. W izbach łowickich najważniejszą ozdobą są papierowe wycinanki. Rozmieszczają je dokoła obrazów oraz pasami wzdłuż belek powalły i ścian. Wycinanki łowickie przedstawiają często scenki z życia ludu — są niezwykle piękne i jest w nich niczaz dużo ludowego humoru. Wyglądają tak, jakby to były malowane obrazki. „Księżaczki” wyrażają w nich swoje zdolności kolorystyczne, podobnie jak w tkactwie sławnych pasiaków wełnianych.

Ładną ozdobą wnętrza izby łowickiej jest malowana skrzynia. Na zielonem, brunatnem lub jakimkolwiek innym tle wymalowane są wzorzyste kwiaty i szlaczki. Z kolorem skrzyni zharmonizowane są zydle, a niekiedy i wysoko artystycznie wykonane łyżniki.

W długie jesienne popołudnie, w zimowe wieczory, kiedy lampa świeci się na stole, a w kominie bucha ogień — siadają „księżaczki” na swoich zydłach i zajmują się tkaniem wełniaków oraz haftowaniem swych strojów. Śpiewają wtedy przy pracy łowickie pieśni ludowe, ułożone przez nieznanych z nazwiska artystów, którzy wyszli z wioski, głównie ze Zławska Kościelnego. Pieśni te — chropowate, niewymyślne i w gwarze — to bardzo często opowiadania smutne jak ballady. Ulubiona jest piosenka zaczynająca się:

Jasio konie poił,
Kasia wodę brała,
Jasinek zaśpiewał,
Kasia zaplakała —

oraz druga, równie piękna:

I wyjechał pan z chartami w pole,
i zostawił maleńkie pachole.
Wszystkie te pieśni są piękne i smutne, nawet gdy początek ich jest skoczny, jak w tej:

A w Krakowie na ulicy
piją piwko rzemieślnicy.

„Księżaczki”, same wyrabiające stroje łowickie, nie dopuszczają, by do dzielnicy ich wdarła się fabryczna tandeta z miast. Farbują, tkają, haftują same. Hafty w strojach łowickich grają ważną rolę. „Księżaczki” przyozdabiają koszule haftem wykonanym drobnymi, ledwo dostrzegalnymi, krzyżkami. Najbardziej rzuca się w oczy jeden motyw: róże czerwone, kremowe lub w jakiejkolwiek innej barwie pośród zielonych liści. Zastępują również na uwagę pasy „księżaków” ze względu na niezwykle artystyczne wykonanie. Pasy są zazwyczaj szerokie: haftowane lub naszywane, wyplatane lub wytłaczane.

Strój łowicki jest tak kolorowy i piękny, jak słońce, łąki, woda, jak łowicki krajobraz. W niedziele, gdy ludzie wystrojeni odświętnie wychodzą tłumnie z kościoła — jaskrawe kolory, paciorki na gorsetach, spódnice, sukmany mężczyzn, kapelusze z wstęgami tłoczą się jedno przy drugim, zapełniają całą drogę wiejską, roją się, furkocą w powietrzu.

Lud łowicki, w przeciwieństwie do ludu z innych dzielnic, nie dopuszcza do zaniku swego odrębnego, bogatego stroju. Mężczyźni noszą filcowe kapelusze, przyozdobione kwiatami i wstęgami. Na kolorowe kaftany, najczęściej niebieskie, nakładają także sukmany. Spodnie czerwone lub złote w podłużne pasy, wpuszczają do wysokich butów. Strój „księżaczki” jest bardziej oryginalny i pstry. Na szyi noszą śliczne paciorki, albo „siekańce” lub „dętki”. Gorset z klapkami pod szyję, nad nim sztywny kołnierzyk. Spódnica w pasy („wełniak”) wykonana z samodziału. U starszych „katanki” lub kaftany” zwykle kolorowe w kratkę lub pasy.

Podobnie jak każda grupa regionalna, tak i łowicka posiada swój odrębny przymysł artystyczny. Jest nim ceramika. Prześliczne są kształty naczyń, zarówno jak w wyższym jeszcze stopniu artystyczne ich zdobienie.

A. Br.

Jak promyk pomógł pszczołkóm

Rozejrzał się wrześnieowy Promyk po niebie, po ziemi. Pochodził tu i tam. Pokręcił się. Pokiwał głową: — Coraz mniej kwiatków. Coraz ciszej i smutniej. Ej, nudzi mi się. Poszukam sobie jakiej roboty.

Wyszedł Promyk na drogę. Patrzy, a tu listek wierzbowy leży. Pomyślał chwilę. Stał na listku i mówi:

— Wieś, nie wieś gdzie mnie potrzebuja, tam mnie, listku, nieś!

Porwał się listek z ziemi i leciał. Przylądził do ogrodu, gdzie są ule.

Zeskoczył Promyk z listka. Rozgląda się wokół. Szuka, kto go tu potrzebuje.

A tu zaraz pszczołki zebrały się wokół niego i proszą:

— Promyku, Promyku, poszukaj nam kwiatów. Nie mamy skąd zbierać miodu.

Zamyślił się Promyk. Gdzie tu jeszcze kwiaty rosnąć mogą we wrześniu?

— Gdzie? Nie wiesz? — pyta listek wierzbowy — Toż wrzosa w lesie!

— Ach, prawda, przypomniał sobie Promyk i zaraz zwołuje pszczołki:

— Na wrzosa, na wrzosa, niech nas skrzydła niosą!

Jagusa i psotny wietrzyk

Biegnie Jaguś drogą, a tu jarzębina ku niej się przygina:

— Weź mnie, Jaguś, weź mnie. Spieciesz sznur korali. Korale czerwone, jak matusia mają.

Pomyślała Jaguś, chce gałązkę urwać, ale gałązeczka myk — do góry leci.

Popatrzyła Jaguś, co za dziwy takie. A tu wietrzyk - figlarz szumi w gałązeczkach: — Nie dam ci korali, nie dam ci czerwonych. Sam se splotę wieniec ładny, płomienisty.

— Ej, wietrzyku psotny, nie bierz mi korali. Leć, poszukaj sobie innej jarzębiny.

Trudzi się Jagusia. Gałązkę chce dostać. — Zniż się, zniż się jeszcze. Jeszczem nie urosła, nie mogę cię dostać.

Powiał wietrzyk z góry. Gałązkę przygina: — Rwij, Jaguś, korale, już teraz potrzymam.

Nie potrzymał wcale. Gdzietam! Taki psotnik! — Fiu... dmuchnął znów zdołu! Znów gałązki niemal

Lecz stanęła Jaguś na dużym kamieniu.

— A widzisz, wietrzyku, mam swoje korale!

Wrzesień

Idzie, idzie złoty wrzesień,
coś w koszyku złotym niesie.

— A co też w koszyku niesie
złoty wrzesień?

Niesie, niesie złote dni —
jeden, dwa, trzy...

Naliczyłem aż trzydzieści.
Ledwie w koszu wszystkie zmieści.

— Miły wrzesniu, proszę cię,
daj mi jeden złoty dzień.

— Nie, nie mogę dać nikomu,
muszę odnieść dni do domu.

Tam w tym domu, złotym domu,
muszę oddać dni te komuś.

— Kto to taki? — Pan mój, Rok
śledzi każdy tu mój krok.

Idzie, idzie złoty wrzesień,
coś w koszyku złotym niesie.

— A co też w koszyku niesie
złoty wrzesień?

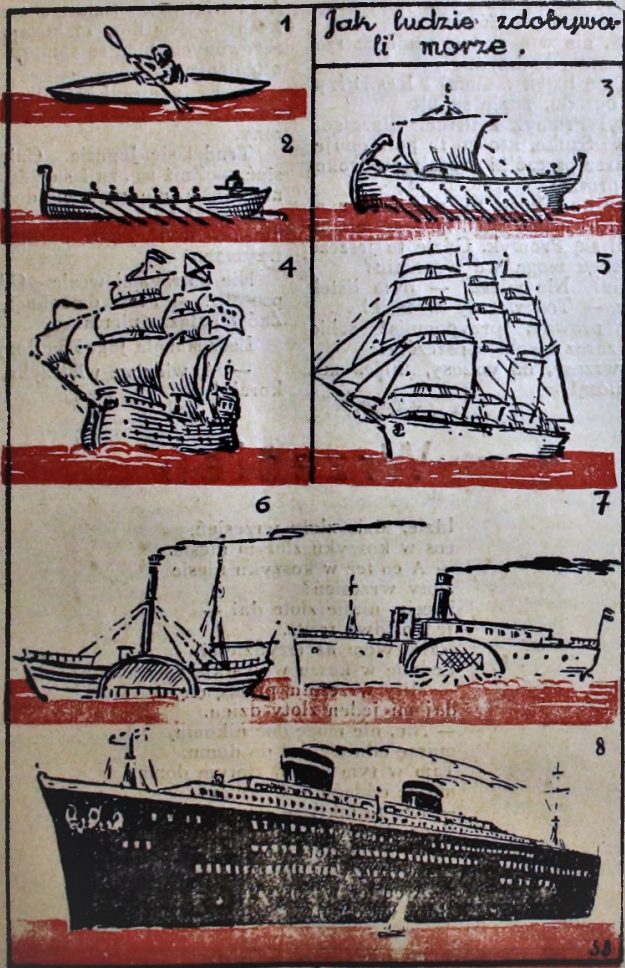
— Musimy teraz przekąsić, żeby na-
brać sił.

— A mnie krew ciągle kapie z nosa!
— skarżył się Julek.

— Ścisnij się za taką żyłkę pod górną
wargą, zadrzyj głowę i połóż sobie mokrą
chustkę na nosie! — poradził Breloczek.

— Wiesz go, jaki doktor! — uśmiech-
nął się Julek, ale zrobił według rady Bre-
loczka.

— Żebyś wiedział, że umiem radzić
w nagłych wypadkach. Zresztą mój ta-
tuś jest doktorem w Krakowie i ja go się
o wszystko pytam.





Tymczasem Wacek wydobyl jedzenie ze swego plecaka, inni takze i zaczal sie podwieczorek. Julek, ktoremu rzeczywiscie przestala isc krew z nosa, odzyskal humor. Od czasu do czasu pytal sie tylko ten i ow Mietka:

— Gdziez ten twój brzeg?

'A Mietek dziwil sie za kazdym razem:

— Nie widzicie jeszcze?

Jednak uplywaly kwadransy i godziny i nic sie nie zmienialo w sytuacji. Wszedzie byla woda i niebo, lódka skakala jak konik polny i nie bylo widać lódzi ani brzegu.

— Czy mnie sie zdaje, czy jakby sciemnilo sie troche! — powiedzial naraz Wacek niespokojnym glósem.

— Zdaje ci sie! — powiedzial wesoło Mietek i zaraz dodal. — Wiecie co? Mozebyśmy zaspiwali? Naprzyklad — „choć burza huczy“, co?

Ale Wacek upieral sie:

— Czekaicie, nie! która to godzina:

Julek spojrzal na swój zegarek:

— Siódma! — krzyknal naraz. — Jesteśmy juz pięć godzin na morzu.

— No, wiec cóz z tego? — powiedzial Mietek. — Na ósmą bedziemy w domu. Do brzegu jest najwyzej kilometr.

W łodzi zapanowala cisza, ale po chwili odezwal sie Wacek:

— Niedlugo zapadnie noc i wtedy...

— Wtedy cie porwa strachy, czy co? — smial sie Mietek. — Bedziemy sygnalizowali latarką Breloczka i koniec.

Fale rozbijaly sie o boki łodzi i szelosciły zlosliwie, a olbrzymia przestrzen dokola wygladala jak rozgotowany, gęsty i ciężki olów.

Mietek odezwal sie znowu:

— Wiecie, co? Obliczyłem, ze jesteśmy na linii okretowej Gdańsk — Hamburg. Te statki chodzą bardzo blisko brzegu i napewno zobaczą nas przez lor-

netkę... Ale, prawda! Breloczek przestala ty masz lornetkę w swoim „maszynie“?

— Mam.

— Bedziemy patrzeć pokole i dokola, czy nie zobaczymy okretu, albo brzegu.

Wszyscy pokolei obejrzel morze, ale nic nie zobaczyli, dopiero Mietek... Ten ledwo lornetkę przyložyl do oczu, zaczal wolać:

— Jest, jest!

— Co?

— Statek!

Ale reszta znowu nic nie widziala, choć pokolei wypatrywali oczy. Naraz Breloczek odwrócił sie w inną stronę i wydal jakis dziwny krzyk:

— O! Oj!

— Co? co?

Breloczek tylko ręką wskazal. Gólem okiem mozna bylo dojrzeć wielki statek, szarzejacy w zapadajacym zmroku.

— Dalej! latarkę! — krzyknal Mietek i kiedy Breloczek wyciagnal błyskawicznie latarkę z plecaka, rozkazyl dalej:

— Sygnal ratunkowy!

'Ale nikt nie wiedzial, jak to sie robi.

— Sześć razy na minucie, co dziesięć sekund! — objaśnial Mietek. — Potem minucie przeczekać i znowu.

Julek zaczal dawac sygnal ratunkowy, a statek patrzyla w stronę okretu. Minelo tak pięć dlugich minut.

— Nie widzą nas! — szepnal Wacek.

'Ale w tej chwili od strony okretu poplynela dluga smuga z reflektora, potem druga i trzecia.

— Szukają nas! — krzyknal Julek.

— Nie! Odpowiedzieli, ze ida z pomoca.

— Jakto! Przecież mówiles Mruccusiu, ze sygnal ratunków daje sie sześć razy na minucie...

— Tak, ale odpowiedz daje sie trzy razy na minucie. Co dwadzieścia sekund...

— Idzie! idzie! — wolal Wacek. — O, patrzcie, juz jest większy! Zbliza sie!

Okret rósł w oczach i slychac bylo nawet szum rozbijanych fal. Lódka zachwiala sie silnie, ale któzby na to zwracal uwage!

Wreszcie okret stanal blisko i jakis okropny glos zahuczal nad nimi kilka słów.

— Ki licha? — stropil sie Wacek. — Jakis olbrzym gada, czy co?

— Przez tubę mówią — powiedzial Mietek. — Ale gorzej, ze nic nie rozumiemy.

(Dalszy ciąg na str. 6)

Polscy Robinsonowie

(Przeniesiono ze str. 5)

— Po niemiecku zdaje się? — powiedział Julek.

— Nie, po angielsku. — Trzebaby, coś im odpowiedzieć...

Julek wyskoczył na dziób łodzi:

— Ja im odpowiem. Przecież tak czy owak zabiorą nas, a jeżeli są ciekawi, to niech się głowią tak, jak my.

Tu Julek nabral powietrza w płuca i zaczął krzyczeć:

— Gud baj! ud baj! Tu jest Poland, kape wu? Bązur mesje szczur! Poland auf ajne łódke. Die rozbitkem fon boj-skaut. Bum, bum na basie, dobry chlebuś na kwasie!

Wygwizdów odzyskawszy odrazu humor na widok okrętu, tarzał się ze śmiechu w swojej łodzi, aż łyzy ciekły im z oczu.

— Die rozbitken..! — krztusił się Wacek, trzymając się na brzuch.

— Dobry chlebuś..! — powtarzali Mietek i Breloczek.

Po chwili podjechała do nich spora szalupa i zahaczywszy ich łódź, podciągnęła w stronę okrętu. W szalupie siedziało czterech marynarzy i sternik, człowiek z dziwnie skrzywioną twarzą i przymkniętym okiem.

Kiedy podjechali do okrętu, sternik pokazał im drabinękę sznurową i dał znak, żeby po niej się wspiąć. Pokazał też na migi, żeby zostawili plecaki, bo wywinduje się je razem z łodzią.

Ledwie chłopcy stanęli na pomoście, znaleźli się tuż przed chudym, długim kapitanem, który patrzył na nich zgóry. Wygwizdów stanął w szeregu i salutował sprzeżyście kapitanowi.

Długi kapitan spojrzał nieco zdziwiony, potem wyprostował się po wojskowemu i salutował także. Wtedy Mietek wy palił krótko:

— Boj-skaut. Poland.

A po cichu dodał:

— Trzeba mu podziękować jakoś, ale jak? Może powiedzieć „dank“?

— Zdaje się, że to się mówi „tenk ju“ — powiedział Julek. I Mietek dodał jeszcze do swego przemówienia:

— Tenk ju!

Kapitan kiwnął małą główką, osadzoną na długiej, chudej szyi i zabelkotał coś przedko, czego chłopcy nie zrozumieli z-

pełnie. Nie przeskadzało to Julkowi uśmiechać się przyjemnie i mówić co chwila:

— Jes! jes!

Kapitan zawołał skrzywionego sternika i dawał mu rozkazy. Podróżnicy zrozumieli z tego wszystkiego tylko jedno słowo: „Dzems“. Tak się zapewne nazywał sternik.

Kapitan odszedł, a sternik kiwnął żeby szli za nim. Teraz dopiero poczuli, jak strasznie są zmęczeni: całe ciało było jak obite, w oczach się wszystko mięszało, a w głowie szumiało nieznośnie.

Z trudem udźwignęli swoje plecaki, a plecak - magazyn Breloczka musiał wziąć Mietek, bo Breloczek ledwo trzymał się na nogach.

Zeszli wdół po schodkach i idąc ciągle za sternikiem znaleźli się w małym poicoiczku, w którym było cztery łózka „w dwa piętra“, to jest po dwa przy każdej ścianie, jedno nad drugim.

Chłopcy rozebrali się przedko, zmienili bieliznę i rzucili się na posłania. Natychmiast oczy zaczęły im się kleić do snu. Jeszcze tylko Julek spwał sennym głosem:

— Mruczysław, czyś ty naprawdę widział brzeg i okręt?

Mietek mruknął zgóry.

— Nie, nie widziałem, ale musiałem przecież dodać wam odwagi.

— A czy..? — zaczął jeszcze Julek, ale już nie dokończył.

Wkrótce rozległo się w kajucie poczwórne chrapanie.

(DCN)

Jesień

Szumiał las, śpiewał las,
gubił złote liście,
świeciło się jasne słonko
chłodno a złościście...
Rano mgła w pola szła,
wiatr ją rwał i ziębił;
opadały ciężkie grona
kalin i jarzębin...
Każdy zmierzchnoczył deszcz,
plakał, drżał na szybkach...
I tak ładnie mówił tatuś:
jesień gra na skrzynkach...

J. Czechowicz

Nasze wierszyki

Książka

Witam cię kartek szelestem,
tytułem na pierwszej stronie,
witam!

Bo poto przecież jestem,
żebyś mnie ujął w dłonie
i czytał.

Kiedy jesz obiad — na zdrowie!
Gdy chcesz się bawić — baw się!
Ja ci nie bronie!

Ale gdy chcesz mieć opowieść
o wszystkim, co najciekawsze —
ja ci się skłonię!

Kiedy ci smutno będzie,
kiedyś samotny, chory,
bez przyjaciela —
ja z tobą pójde wszędzie
poprzez zimowe wieczory
w kraje wesela.

Idzie jesień

Chce chmureczka
zakryć słońce,
lecz nie może,
lecz nie może.

— Siostry moje,
ach, siostrzyczki,
która z was mi
dopomoże?

Płyną chmureczki
jedna za drugą,
zakryły słońko
na bardzo długo.

A wichura,
a wichrzysko
wieści niesie,
wieści niesie:
— Hej! odchodzi
piękne lato,
idzie za niem
szara jesień!..

Będiesz wraz ze mną oglądać
baśnie i cuda i dziwy,
na końcu świata.

Po niebie, po morzach i łądach,
jako te ptaki szczęśliwe,
będziemy latać.

Nigdy ci się nie znudził!
Wędrowki po każdej kartce
nie są tak straszne.

Przygody innych ludzi,
są przecież nie mniej warte,
niż twoje własne.

Ja cię bez trudu nauczę
tego, co przydać się może
choćby po latach paru.

Ja tobie słowem, jak kluczem,
w cudowny sposób otworzę
pałace czarów.

Za okienkiem

Mama szyje
na maszynie.
Gotuje Tereska.

Ignas uczy
psot i figlów
kochanego pieska.
Stefek patrzy
przez okienko,
widzi same dachy.

Jedne czarne,
drugie szare —
a są one z blachy.
Patrzy, patrzy
przez okienko —
widzi i kominy.

A nad niemi
dym się kłębi
czarny albo siny.
To już wszystko
widział Stefek
wiele, wiele razy.
Żeby ujrzeć
coś innego —
o tem stale marzy.

Pomyśl chwilę!

ŁAMIGŁÓWKA

I.

3	6	1
8		4
5	2	7

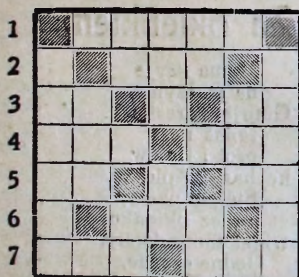
II.

1	2	3
4	5	6
7	8	

Postarajcie się jak najmniejszą ilością ruchów numerki w pierwszej figurze ustawić w takim porządku, jak są w figurze drugiej. Oczywiście można tylko przesuwac po jednej cyferce, korzystając z pustego pola.

Napiszcie nam, ile potrzebowaliście na to ruchów.

Krzyżówka



Znaczenie wyrazów poziomo:

- 1 — część nogi;
- 2 — spółgłoska, owad, spółgłoska;
- 3 — dom pszczoł, samogłoska, zaimek w l. mn.;
- 4 — 12 miesięcy, zbiór drzew;
- 5 — karta, spółgl., zaimek w 3 przyp.;
- 6 spółgłoska, nie tu, samogłoska;
- 7 — pytanie rachunkowe, zwierzę domowe.

Pionowo: pierwszy rząd da nazwę czerwonych, słodkich jarzyn, ostatni — nazwę pory roku.

Humor

już czyta

Malutki chłopczek złapał kawałek gazetę i przygląda mu się bardzo uważnie. Jakiś pan przechodząc pyta:

— No co, mały, potrafisz przeczytać, co tu napisane?

A on na to poważnie:

— Pocichu to potrafię, tylko głośno nie umiem jeszcze czytać.

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze życie”, Riga — Dzirnawu 57. „Krasnoludki”
Drukarnia „RITI”, Riga, Dzirnawu iela Nr. 57.